W. Leśniewski

№ 16. Warszawa, dnia 18 (6) Kwietnia 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

I.W.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.



O ubiorach.

14 Kwietnia 1896 roku.

Karnawał letni rozpoczynający się z Wielkąnocą, spowodował ogromny ruch w Paryżu. Bulwary i ulice zaroiły się tłumem wytwornych pań świeżo przybyłych z Nicei, Cannes i innych stacyi południowych. Otwarta w tych dniach wystawa koni w ogrodzie pałacu przemysłowego, rozpoczyna szereg świetnych zebrań, które można by nazwać wystawą strojów letnich.

Pani Petit dawniej Eliza Mery, której krawiecki zakład przy ulicy St. Lazare numer 77, pomieścić nie może cisnących się Paryżanek i cudzoziemek, ze zwykłą sobie uprzejmością ukazała nam piękne suknie i kostymy zamówione u niej na majową wystawę sztuk pięknych. Nim przystąpimy do szczegółów, rzućmy okiem na nowe tkaniny tak z wełny jak jedwabiu nadsyłane codziennie do pracowni przez wielkich fabrykantów Paryzkich i Lyońskich. Cząstkę ich małą opisaliśmy w marcowem sprawozdaniu, wypada nam dodać tu mnóstwo nowych wyrobów, jakie dziś mamy przed oczyma.

Wśród materyi jedwabnych pierwsze dziś miejsce zajmuje mora, w nowym zupełnie rodzaju, mieniona, w dwóch odcieniach tegoż samego koloru. Na tle mat, błękitnem, zielonem (w odcieniu morskiej wody), błękitno mglistem (nuage), złotawem i heliotropowem, przechodzi jaśniejszy deseń morowy w formie obłoków, piorunów lub płomieni, w to wszystko wsnute cieniuchne srebrne nitki, przez co materya wygląda jakby posypana srebrnym pyłkiem.

Widzimy inną morę w pasy tęczowe (arcanciel) w kolorach fijołkowym, błękitnym, miedzianym (chaudron), na tle szarem lub popielatawem. Na tych pasach mat, przechodzą w odstępach jasne płomyki morowe.

Oprócz mory przyjęto na strojniejsze suknie materye w wielki deseń z różnokolorowych kwiatów chinée. Inne mają na tle ciemnem zasiany maczek biały, przez to przechodzi szeroka krata w jasnych mięszanych kolorach. Mięszanina ta niekiedy bardzo dziwna. Kolor błękitny łączy się z zielonym, lilla z żółtym i t. p.

Modna zarówno materya w pasy tęczowe w dwóch odmiennych kolorach, rozdzielone czarnym atłasowym pasem, złożonym z drobnych prążek.

Wszystkich tych odmian wyliczyć niepodobna. Do częstszego ubrania wpadły nam w oko lekkie materye w drobne paski tęczowe lilla z popielatym, zielone z drzewiastym, miedziane z mchowym i t. p.

W tkaninach wełnianych mięszanych z jedwabiem, większą dostrzegamy rozmaitość, a co więcej gust wytworniejszy. Na strojniejsze suknie podoba nam się bardzo cienki batyst wełniany w odcieniu śmietankowym, przerabiany w deseń z kwiatów i gałązek, jedwabiem tegoż samego koloru. Ładnie też wygląda szara etamina wełniana, jakby cerowana białym jedwabiem w deseń.

Kolor szary (beige, écru) w różnych odcieniach bardzo używany w tym roku. Na takim batyście wełnianym lub etaminie, zasiane wypukłe punkciki jedwabne, groszek lub delikatny rzucik w kolorze pąsowym, szafirowym, lilla, zielonym, białym, czarnym i t. d. Etamina szara w paski z jedwabnego kreponu, bardzo też ładnie wygląda.

Do najmodniejszych tkanin wełnianych, należy dzisiaj kanwa; uważamy dwa jej rodzaje. Jedna zupełnie klarowna, druga przerabiana z leciuchnem jedwabnem podwleczeniem. Ta ostatnia zwykle czarna lub biała, podwleczona jedwabiem złotawem (vieil or), zielonym lub bordeaux, ładnie i strojnie wygląda.

Uważamy też klarowną kanwę sztywną, przerabianą w matowy deseń wełniany, tegoż jak tło koloru, a niekiedy w różnokolorowy deseń chinée.

Dla młodych osób na wieczorne zebrania ślicznie wygląda cienki batyścik wełniany w drobne wypukłe paski, w kolorach lilla, szamoa, zielonkowatym i różowym.

Na ranne kostyumy do morza, przygotowano szewiot letni w różnokolorowy marmurek, lub w drobną kratkę z prążków białych na tle szafirowem, czarnem, wydrowem, lub ciemno pąsowem (bordeaux).

Powszechnie też przyjęte na ulicę i do podróży kostyumy z alpagi ciemnej, jedne w kratkę czarną lub białą na tle kolorowem, inne w drobny rzucik albo marmurek, inne zupełnie gładkie, sztywne i połyskujące.

Przejdźmy teraz do sukien z pracowni pani Petit, przygotowanych na otwarcie wystawy sztuk pięknych. Dajemy tu szczegółowy ich opis.

Suknia z materyi lilla w odcieniu błękitnawym. Spódnica przymarszczona, w środku tylko przedniego brytu zostawiony mały płaski odstęp. Po bokach bryty w górze przemarszczone sześć razy, co tworzy jakby wodę. Tylny bryt puszczony wolno. U dołu ruszka z tejże samej materyi. Rękawy od ramienia bufowane, kilka razy przemarszczone w podłuż; zmniejsza to na pozór ich objętość; od łokcia do ręki płaskie, zakończone koronkowym wolancikiem. Stanik podwójny, naprzód biały z gładkiej materyi, zahaftowany jedwabiem. Na to idzie drugi z materyi lilla w formie bolero, całkiem otwarty, otoczony na wykroju wolantem z koronki weneckiej.

Druga suknia z fularu surah, na tle różowawem (vieux rose), przechodzą pasy w deseń mchowego koloru. Spódnica marszczona dokoła. Stanik marszczony składa się z dwóch części, po bokach i w tyle zachodzi do góry, z przodu podcięty czworograniasto. Wycięcie to zapełnia koronkowy plastron. Na to idzie wielki kołnierz koronkowy, z przodu dochodzi wązko do stanu, na ramionach tworzy szerokie klapy, na plecach długi ząb szpiczasty. Stanik obciśnięty plisowanym paskiem zielonym, z pod tego wybiega w tyle baskina koronkowa; ta koronka odwraca się po bokach en coquille, i spada z obu stron do dołu spódnicy. Od boków, przez tylne bryty, zakończa spódnicę wązka koronkowa falbanka.

Trzecia suknia z tkaniny wełnianej, w kratę jedwabną średniej szerokości, na białem tle błękitną i jasno morderową. Spódnica bez garnirunku. Stanik otwarty z wązką baskiną przedłużoną nieco po bokach. Od przodów odwinięte w ząb białe jedwabne wyłogi, zakończone lekkim hafcikiem w odpowiednich kolorach. Rękawy w górze bufiaste, od łokcia płaskie, u ręki odwinięty mankiecik biały z brzegiem zahaftowanym.

Czwarta suknia z szarej kanwy, w wielki rzut tabaczkowego koloru. Spódnica do koła marszczona, przedni bryt tworzy osobny fartuszek, boki spódnicy przytwierdzone do niego trzema złotymi guzikami. Od boków idzie wkoło spódnicy wolant marszczony na pół łokcia szeroki, stanik otwarty z baskiną, pod otworem kamizelka z materyi lilla z małym bawetem, haftowana jedwabiem złotawego koloru z domięszaną gdzieniegdzie nitką złotą. Przody stanika przytwierdzone do kamizelki rzędem złotych guzików. Rękawy w górze nabufowane ale bez przesady, dalej płaskie, zakończone mankietem koronkowym.

Piąty kostyum z cienkiego sukienka piaskowego w formie princesse, nie odcięty w stanie. Przód spódnicy otwarty, pod to idzie bryt namarszczony z materyi w guście perskim w różnokolorowy deseń na tle śmietankowem. Od stanika odwrócone podwójne wyłogi, u spodu z materyi perskiej, z wierzchu z lekkiego aksamitu hawana. Pod spód dany plastron z namarszczonego tiulu w jedwabny groszek, przybrany w środku takąż draperyą spiętą na złotą broszę. Wkoło szyi takiż krawat z ogromną na przodzie kokardą. Rękawy balonowe ścięte do łokcia, z koronkowym wolantem. Nad tem odwinięty mankiet do połowy z aksamitu, do połowy z materyi perskiej.

Wiele widzimy sukien ze spódnicą otwartą z przodu, pod to idzie bryt z materyi perskiej lub tureckiej. Wtedy kapelusz okrągły, ubrany po każdej stronie pękiem koków z podobnej wstążki.

Inne kapelusze ubierają tiulem jedwabnym w groszek, pomięszanym z kwiatami. Krawaty tiulowe wkoło szyi związane na wielką kokardę, stały się panującą modą.

Seweryna Duchińska.

St. Aziel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

— W zasadzie nie przeczę, masz poniekąd słuszność. Ale trzeba z gruntu przerobić społeczeństwo, naturę ludzką, stosunki, i was same— zaczął.

— A ja zanim tych „przeróbek” dokonają, pójdę jutro do tego osła i spoliczkuję go samem zachowaniem; będę go traktowała gorzej kelnera, gorzej szewca, partacza z suteren — odgrażała się, też spacerując dokoła.

Brwi Janusza ściągnęły się nagle; oczy zazwyczaj spokojne, zalśniły. Zatrzymał ją.

— Nie, ty nie pójdziesz tam jutro, nigdy! Noga twoja tam więcej nie pozostanie.

— Ależ z Angielką! Ja nie puszczę tego płazem!

— Ani z Angielką, z nikim! Mogłabyś iść tylko ze mną, ale ja znów nieochybnie spoliczkowałbym tego śmiałka naprawdę, i byłaby awantura, której ze względu na ciebie nie chcę. Więc nie pójdziesz wcale, zapłatę mu odeślesz.

Ada patrzyła nie mogąc pojąć, aby ktoś śmiał woli jej stawać opak i swoją narzucać. To też nieuległość jej natury, w sprzeciwianiu znajdująca bodziec, byłaby w sekundę jej podszepnęła jakiś sprytny pomysł, żart, figiel, i tem roztrąciła jego powagę i bezwzględność żądania. Lecz w głębi duszy coś ją nagle podrażniło, jakby zaświdrowało, podniecając do innego rodzaju opornego wystąpienia.

— A to jakiem prawem zakazujesz mi robić co chcę? Kuzynowskie przywileje tak daleko nie sięgają! — rzekła śmiało, podnosząc głowę.

Rysy Janusza drgnęły. Ogień znów je oblał, a szafirowe oczy aż mu zczerniały od zwiększonych źrenic; ale minuty się nie zawachał.

— Prawem człowieka, który i w kobiecie do wysokiego stopnia godność jego uznaje — powiedział. — Oto widzisz jak jest w rzeczywistości! Wy, wy same nie umiecie się podnieść i utrzymać na rzetelnem stanowisku człowieka. Dopominacie się o pełną wolność, o prawa, dyplomy, ale macie tylko mnóstwo ambicyi, dumy, a raczej próżności i miłości własnej; i całe kształcenie wasze i wyswabadzanie się daje wam tylko blichtr, nowy gatunek powabu, śmiałość, wreszcie czasem surową naukę, a nie włącza tak w społeczeństwo duchem, instynktami, sercem, abyście czuły się zrosłe z niem nierozerwalnie i nabierały prawdziwego zrozumienia swej godności, przez co nam zdołałybyście kłaść najskuteczniejsze hamulce, a same poczęły raz zdawać sobie sprawę z każdego kroku i raz przestały czynić z siebie i z życia zabawkę. Wy same nie pojmujecie w czem istotnie wasza olbrzymia działalność w dziejach ludzkości, w czem najpiękniejszy wasz ideał. Igracie urodą, opinią, dobrem imieniem, sercem, życiem własnem i cudzem, jak gdyby ono było własnością jednostek i danem dla rozrywki. Czy ty pierwsza, choć tak pojętna i rozwinięta zastanawiałaś się kiedy, czego chcesz od życia, dokąd dążysz, czego chcesz choćby li tylko dla siebie samej?

— A czegóż ty znowu chcesz odemnie dzisiaj? — wtrąciła Ada zła, nachmurzona, z posępnym błyskiem w oczach. — Jestem wolna, niezależna i ani tobie, ani nikomu sprawy zdawać nie potrzebuję.

— Wolna? Wolna? A właśnie, że nie jesteś wolna! To mniemanie to jeszcze jedno złudzenie ślepoty i fałsz — przerwał Oroński z niezwykłem przejęciem. — Nie ma człowieka wolnego od obowiązków względem siebie i innych, jak nie ma człowieka, któryby sam z siebie powstał i nic od nikogo nie potrzebował. Są tylko ludzie, którzy wmawiają w siebie swą absolutną niezależność czynów i opinii, przez absolutne samolubstwo i pychę. W gruncie żadne dzieło złe czy dobre nie przechodzi bez śladów, każdy po sobie zostawia spuściznę, i nikt w społeczeństwie nie stoi tak odosobnionym, by nie czerpał z dorobku wieków i pokoleń, by zatem innym nie winien był spłacać długu, który zaciąga od samej chwili przyjścia na świat. Takiem jest prawo życia proste, lecz niezaprzeczone; wytwarza ono zaś między przeszłością, a przyszłością i pomiędzy ludźmi wzajemne pasmo węzłów nierozerwalnych, których nie można targać bezkarnie. O tak! próżno się usuwać, oszukiwać, pozornie wyswobadzać! Wcześniej czy później człowiek zawsze pozna kruchość i nędzę swego samolubstwa, bo musi coś czcić, kochać i spełniać, musi uznawać jakieś obowiązki życiowe, gdyż bez tego wszystko się rozluźnia, rozpada, próżnię stwarzając i nicość... Więc ja domagam się, byś zrozumiała wartość życia i odpowiedzialność za nie — podjął, gdy milczała. — Baw się, owszem, lecz nie igraj z sobą i z tem co najdroższe. Jedź, jedź teraz do Jadwini, lepiej niż zagranicę do wód, gdzie znów wpadniesz w gwar i odmęt, gdzie piętnastu nowych będzie ci nadskakiwać. Tak, jedź na wieś, tam możesz łatwiej uspokoić się, opamiętać.

Ada słuchała go z dumnie zaciśniętemi ustami rumieniec to wybijał na jej lica, to niknął.

— I, wyjść, za mąż! — wypowiedziała dobitnie, wolno, jakby jego myśl kończąc.

— Wszystko dla ciebie lepsze, wszystko! niż to narażanie się na każdym kroku — podjął on jednym tchem zgorączkowany, wzburzony, jak człowiek, który przez instynkt czemuś się broni, przed czemś chce stawiać tamy, i zawracać, uciekać.

Ale w tej chwili jej sztuczny spokój prysnął. Oszołomienie jego mową sprawione zlało się w jej mózgu w głuchy, niewyraźny, odpływający szum, wśród którego słyszyła tylko ostatnie słowa niespodziewane.

— Co? ty mnie nakłaniasz do wyjścia za mąż? Ty?... ty? — rzekła też stłumionym, lecz przenikającym głosem, a poniżej skroni miała czerwone plamy, w oczach szeroko rozwartych błyskawice zazdrości, buntu, żądzy. — Ty? — powtórzyła zupełnie cicho i rękę jego ujęła, pochyliła się, jakby chcąc z dna źrenic jego wydrzeć tajemnicę, a już blada, snadź tą sekundą jego wahania i milczenia przerażona, dotknięta i upokorzona.

Janusz zachwiał się, o krok cofnął. Spojrzał jak człowiek z zapamiętania nagle i okropności ocucony.

— A!... — wyrwało się z jego ust, i twarz dłońmi zakrył.

Lecz natychmiast z miejsca ruszył.

— Jedź, jedź! — rzucił głucho, jakby widmo jej, pokusę, odganiając rękoma.

Odwrócił się i bez pożegnania wyszedł.

VII.

Po rozejściu tem, istny odmęt zapanował w duszy Ady. Przekonaną była teraz, że Janusz kocha ją silnie i gorąco. Ale zarazem widziała, że pierwsza chwila opamiętania obudziła w nim chęć oderwania się od niej, zaparcia miłości i wyrzeczenia się jej, zapewne dlatego, by nie łamać słowa danego innej kobiecie, z którą związał się wcale nie lekkomyślnie, która kochała go i nadmiar była córką człowieka, co postępował z nim uczciwie i po ojcowsku.

Ta więc różność i dwoistość przeświadczeń wzniecała w niej ów chaos uczuć co chwila odmiennych rodzajem, napięciem i temperaturą. Tem więcej, że sama miłość jego, to wydając się rzeczą jasną i niezaprzeczoną, traciła dla niej natychmiast część dotychczasowego uroku; to znów jako pozbawiona pełnych wyznań, podniecała gwałtowne pragnienie, by jednak wyrwać z jego ust tę pewność, że gotów jej narzeczoną poświęcić.

Chwilami jednak słyszała jakoby w sobie echo jego słów, upominających, by nie igrać tak zawsze i wszędzie. Głos własnej ambicyi i uczciwości także się w niej odzywał, radząc tu przynajmniej usunąć się z drogi i szczęścia dwojga nie zakłócać. Lecz miłość własna i ten nałóg bałamuctwa zakorzeniony, podsuwały natychmiast podstępne dowodzenia.—„Jeśli mnie kocha, toć z Maryą szczęśliwy nie będzie i jej nie zechce"— myślała. Pytanie zaś, co sama uczyni, pozbywała lekko, jak mało znaczące, w głąb siebie zgoła nie wnikając i nie powołując się do szczerej, poważnej odpowiedzi. — „Ha, niech bierze mnie, jeśli zdoła opanować i naprawdę wziąć potrafi"— mówiła, całą sprawę spychając do znaczenia probierczych zapasów.

W istocie bowiem przychodziły dnie i godziny, w których przekonaną była, że kocha Janusza i władzę jego nad sobą uznaje, lecz następowały inne, w których zupełnie o tem powątpiewała, lub nie myślała, zachowując niejako świadomość, że jeszcze potężniejszej miłości i przewagi potrzebuje, aby uledz. Obok wszystkiego zaś, podrywała ją chwilami jeszcze pusta, szalona przekora, podbudzająca chęć wyjścia za mąż, za ko gobądź, choćby za obywatela proponowanego przez siostrę, byle dość odpowiednio, świetnie, a zwłaszcza prędko, w przeciągu wakacyjnych miesięcy; wyjść, aby *jego* zdumieć, ukarać; aby samej położyć zaporę, nim *on* ją postawi, lub naodwrót, zanim zdecyduje się powiedzieć: „wszystko przełamię dla ciebie."

Takim był stan jej usposobienia i myśli.

W mieście tymczasem ruch z powodu wystawy rolniczej się zdwoił. Ludzi napłynęło mnóstwo, i Ada między przyjezdnymi znajdowała wielu znajomych. Ponieważ zaś pragnęła wszystkich widzieć i we wszystkiem brać udział, przeto wpadła w wir tak nadmierny, iż ostatecznie gorączką i niepokojem wyczerpana, postradała chęć do wycieczek za granicę, i ulegając namowom państwa Zdzisławów, razem z nimi do Keniów wyruszyła.

Przyczyniła się do tego wielce i ta okoliczność, że mimo usiłowań nie spotkawszy nigdzie Janusza, pozbawiona możności naprawienia naderwanych stosunków, pragnęła przynajmniej kroki jego śledzić, zwłaszcza, że gdy zamęt we własnych jej uczuciach ucichał, poczynała widzieć położenie wcale groźnem.

Głównie nakształt kolca jęła ją niepokoić myśl, że Oroński może zechce położyć kres moralnym swym rozterkom i korzystając z jej oddalenia — ślub z Maryą przyspieszyć, by tylko nie uchybić honorowi i obowiązkom.

Przypuszczenie to raz powzięte, prawdziwie jak cierń wbity w dłoń stawało się nieznośnem i drażniącem tak, iż chciała zerwać się i do Warszawy powrócić, wysyłania listu nie uważając za dostateczne.

Ale rzeczy inny wzięły obrót.

A mianowicie: otrzymała względnie uspakajającą wiadomość od Heli, która pozostawszy w Warszawie dla studyów, obiecała mieć Janusza i Mirów na uwadze. To jest dowiedziała się, że w domu Rogerów nastała żałoba z powodu śmierci babki, nadzwyczaj kochanej i szanowanej w rodzinie.

Łatwo zaś było ufać przypuszczeniu, że w podobnych warunkach ślubu tam nie będzie, ponieważ państwo Roger mieli ustaloną opinią ludzi wielce szanujących wszelkie formułki religijne i zwyczajowe.

Ada zaprzestała tedy gorączkować się i strawiać niepokojem. Poniechała zamiaru atakowania Janusza listem, i poczęła oddawać się wypoczynkowi moralnemu i fizycznemu w ciszy wiejskiej, która ją wprawiała w stan jakoby lekkiej drzemki. W tem nowem otoczeniu odżyły w niej potrosze uczucia rodzinne, przytłumione i popaczone i dobrze jej było pod dachem siostry, nawet mimo mrukowatości szwagra i hałaśliwych siostrzeńców. Dość, że zamiast tygodni kilku przesiedziała na wsi miesięcy trzy, mając wielką rozrywkę z zabiegów świetnego konkurenta, którego potrafiła od oświadczyn powstrzymać, lubo wyznawał się jej niewolnikiem wiernie oddanym.

Zaledwie koło dziesiątego Października Ada powracała do Warszawy.

Pociąg wieczorny, pospieszny od granicy pędząc zabrał ją po drodze. A niemal z pierwszym świstem pary, przy pierwszem zetknięciu z obcymi ludźmi, natychmiast owionął ją duch wielkomiastowego nastroju.

Poprostu, w jednej chwili zlewać się poczęła z ruchem machiny, z wrzawą, z pośpiechem i gwarem, jaki ją otaczał, czerpiąc w tem przedsmak wirowatego życia, w jakiem znów pogrążyć się miała.

Po nerwach jej i żyłach poczynało przepływać coś nakształt drobnych, leciuchnych iskierek, zwiastunów budzenia się wrażliwości, czasowo zdrzemniętej. Sam widok świateł, to szeregami usianych w oddali, jak po nitce rozsute, błyszczące paciorki, to gromadnie miejscami płonących jak iskier tumany, serce jej gorącą uciechą poruszył.

Stała przy oknie, z twarzą do szyby przyjgniętą i patrzyła; patrzyła — już w tych ognikach różnej barwy i wielkości odczuwając drganie miejskiego życia, jakkolwiek nawet ogólne zarysy gmachów ginęły w morzu wieczornych ciemności, i gwary żadne jeszcze nie dolatywały uszu.

Wreszcie gwizd się rozległ raz i drugi, pociąg bieg zwolnił, przystanął. Na peronie zgiełk i ruch powstał, zamrowiło się tłumem ludzi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Warszawa, w Marcu 1896 r.

Ten najmniej stały z pomiędzy dwunastu miesięcy składających nasz rok kalendarzowy — ten zmiennik przysłowiowy wraz ze swojemi złudzeniami wiosny i nieodłącznymi od nich przymrozkami i śnieżycami — ten Marzec jednem słowem obok wielu niespodzianek przyniósł naszemu światu piszącemu zapowiedź konkursu ogłoszonego przez „Kuryer Codzienny", a czytelnikom tego pisma nadzieję spotkania się z kilkoma nowemi pracami oryginalnemi, które jako zalecone do druku, a zatem wyróżnione z pomiędzy wielu niewyróżnionych, z konieczności budzić będą większy interes i zaciekawienie.

Mówimy tu *zalecone do druku i wyróżnione* omijając z całym rozmysłem termin *„nagrodzone,"* a to z racyi, że prawo nagrodzenia ma przyznanem sobie tym razem czytająca publiczność, do sądu zaś konkursowego należeć będzie tylko orzeczenie, które z utworów powieściowych zasługują na to, aby stanęły przed plebiscytem. Będziemy tedy mieli spory, ścieranie się opinij i gustów literackich więcej lub mniej uzasadnionych, szczęśliwy tryumfator lub tryumfatorka wzamian za utrafienie w smak czytającej większości otrzyma rubli tysiąc, zaleceni do druku zadowolą się honoraryum po 5 kop. za wiersz feljetonu, a pozostali poprzestać będą musieli na tem, że uprzyjemnili po kilkanaście, a nie daj Boże, po kilkadziesiąt godzin każdemu z członków konkursowego zgromadzenia. A zatem z pomiędzy wszystkich wezwanych, bardzo niewielu wybranych, a zbawiony w całem znaczeniu tego słowa jeden tylko.

Co do innych marcowych niespodzianek, to nie licząc już katarów złośliwych i gorszych od nich co do następstw zapaleń oskrzeli i płuc, sprowadzonych przez raptowne zmiany w temperaturze, mieliśmy dzięki przedwczesnym dwudziestostopniowym upałom i pewną liczbę porażeń słonecznych, o ile się domyślać wolno. Musiało to być tak a nie inaczej, bo bez tego niepodobnaby sobie wytłómaczyć podnieconego tonu polemik i kłótni o to: czy pewna sopranistka jest sopranistką czystej wody — czy mezzo-sopranistką tylko, czy ma prawo do takich a takich ról, czy go nie ma — czy w Warszawie jest klaka najemna, czy jej nie ma — czy godzi się podczas t. zw. frenetycznych oklasków sykać, czy nie godzi — i czy podobny sposób manifestowania się dowodzi bezwzględnie usposobień dla artystki wrogich, albo też przeciwnie można sobie sykanie w pewnych wyjątkowych okolicznościach wytłómaczyć jako objaw entuzyastyczny ze strony takiego pana sykającego.

Jak widzicie czytelnicy nie są to sprawy pierwszorzędnej ważności i nie bardzo łatwo jest zrozumieć przejęcia się niemi ze strony prassy choćby nawet odcienia mocno brukowego, bo nie mówiąc już o prowincyi, która na to wszystko rusza sobie ramionami, i w Warszawie samej nie wielu znajdzie ludzi, interesujących się wydarzeniami zakulisowemi, ploteczkami i komerażami zaszłemi w tych sferach. Przyjechała, jest, śpiewa — bardzo dobrze, — odjedzie, nie będzie jej, przestanie śpiewać — drugie dobrze. Warszawa wogóle biorąc o wiele bardzo muzykalniejszą nie jest od Londynu, a gdyby nawet była muzykalną prawdziwie, to jeszcze nikogoby to nie upoważniało do rozcierania takich wydarzeń jak np. że urażona sykaniem śpiewaczka odesłała sykającemu należność, którą on zapłacił za krzesło w operze, a dalej, że sykający tego zwrotu nie przyjął, i dał odpowiedź listowną. Wszystko to razem wzięte interesować może kilku, kilkudziesięciu a niechby nawet kilkuset miejskich próżniaków, ale publiczność — ta pracująca nb. i myśląca publiczność, biorąc jedno, drugie i trzecie pismo do ręki, a wszędzie spotykając się z jednem i tem samem wałkowaniem faktu błahego i bez znaczenia, przychodzi do przekonania, że z niej żartują, a jeśli ją co zadziwia i zadziwia nieprzyjemnie, to że w to wszystko implikuje się doktora, przez którego u nas rozumieją ludzie człowieka nauki poważnej, a zatem taką osobistość, która od wszystkich bzdurstw podobnych o sto mil oddaloną być powinna. Nie mamy, jak się pokazuje, o czem mówić i na każdym kroku zarzucić nam mogą czytający, że robimy wiele hałasu o nic.

Dzieje się też to wogóle ku wielkiemu szwankowi, na jaki naraża się powaga słowa pisanego, a prawdziwie dopiero szwankuje ten autorytet wobec prowincyi, która nas sądzi krytyczniej niż mniemamy, a nieskończenie mniej się zaprząta tego rodzaju drobiazdżkami z życia miejskiego, niż nam się to w Warszawie często wydaje.

Już to my wogóle z tą prowincyą nie liczymy się jak należy i nie rozumiemy jej w tym stopniu, jakby to z obowiązku naszego wypadało koniecznie. Oto świeżo jedno z pism wytacza proces na prowincyi zamieszkałym matkom rodzin, za to, że one tak nieumiejętnie biorą się do pokierowania wykształceniem córek, i że przysyłając je nawet do takiego ogniska oświaty jakiem jest Warszawa, radzą sobie tutaj bardzo niefortunnie. Pismo to powiada, iż rozumie dobrze oddanie córki na pensyą, ale zupełnie nie pojmuje jak można oddawać dziecko do domu prywatnego — do jakichś tak zwanych przyjaciół, krewnych, czy znajomych, i zkąd takie domy prywatne rościć sobie mogą prawo do pokierowania wykształceniem młodej osoby. A tymczasem ciągle czytamy ogłoszenia tej mniej więcej treści: „W dobrej rodzinie można umieścić przyzwoitą panienkę na dogodnych warunkach—opieka i kierownictwo w naukach zapewnione."

Właściwie mówiąc, trudno jest zrozumieć o co chodzi pismu, z którego wyjmujemy ów zarzut matkom na prowincyi zamieszkałym zrobiony. Jeśli mowa jest o tem, że każda wogóle młoda dziewczyna powinna być oddaną na pensyę, to i u nas, i w świecie całym zdania pod tym względem jak były podzielone dawniej, tak są podzielone po dziś dzień. Jeśli zaś artykuł stawia kwestyą kompetencyi i rozstrzyga ją stanowczo na korzyść pensyi żeńskich, to bez ubliżenia tym ostatnim, będzie i to zawsze jeszcze materya kwalifikująca się do dyskussyi. Wreszcie po za sprawą pierwszeństwa edukacyi publicznej przed kształceniem w domu młodej dziewczyny, i po za ową kompetencyą, którą przyznaje się w całości przewodniczkom zakładów naukowych żeńskich, a której odmawia się stanowczo wszystkim tak zwanym krewnym, przyjaciołom i znajomym bez względu jakiej pozycyi towarzyskiej, jakiej światła i moralności, są domy tych krewnych, przyjaciół i znajomych — po za tem wszystkiem stoi jeszcze spora ilość względów, które wyrozumiećby wpierw należało, zanim się na nie sumarycznie ruszy ramionami i przejdzie do porządku dziennego.

Jednego z nich najpoważniejszego wystarczyćby powinno, aby każdą matkę poszukującą dla dziecka swego domu znajomego sobie z blizka, rozgrzeszyć z zarzutu nieumiejętnego kierowania wychowaniem córki. Tym względem było, jest i pozostanie zawsze niczem nie dające się kwestyonować prawo rodzicielskich postanowień, odnośnie do ich dziecka własnego. Mogą sobie jak grzyby po deszczu krzewić się t. zw. nowe prądy i kierunki, mogą niby pieczarki na pewnych surrogatach użyźniających, wyrastać ludzie nowi, wiedzący wszystko co jest i będzie, a przekreślający nieodwołalnie wszystko co było — może sobie to wszystko istnieć i zyskiwać nawet czasowo grunt pod nogami, a pomimo to wolno będzie rodzicom bacznym, rozważnym i dbałym o dobro dziecka, wybierać między tymi kierunkami, i wszelkie zdobycze ducha czasu przyjmować z dobrodziejstwem inwentarza a nadewszystko mniej chciwie, jakby tego życzyli sobie niektórzy.

Nietylko jest to prawem ale jest i obowiązkiem nawet. Zalewamy prowincyą naszem piśmiennictwem peryodycznem i nie peryodycznem, wysyłamy tam cały wielki chaos najsprzeczniejszych między sobą wyobrażeń i dążeń — jakże my możemy żądać, żeby to wszystko nie zdumiewało tam, nie oniešmielało, nie budziło obaw i nieufności, i żeby zdezoryentowana tą mięszaniną pojęć matka rodziny nie starała się uciec pod ochronę jakiegoś familijnego czy przyjacielskiego stosunku, który jej tyle przynajmniej w danym wypadku gwarantuje, że gdy zobaczy dziecko swoje po roku czy po kilku miesiącach, odnajdzie w niem te same uczucia i zasady, z któremi je z domu rodzicielskiego wyprawiła.

Bądźmy bezstronni, a osądzimy sami co pomyśleć sobie może matka zamierzająca wysłać dorastającą córkę swoją po owo światło, gdy jej w rękę wpadnie pismo mieszczące w sobie takich kilkanaście na przykład wierszy:

„Jest li Sienkiewicz *„duchem przodowniczym,"* zapytuje się autor artykułu umieszczonego w wiedeńskiej „Neue Revue" p. Ludwik Szczepański i... daje odpowiedź nietylko przeczącą, ale co więcej twórcę „Połanieckich" i „Bez dogmatu" zalicza do tych „znużonych dusz" Garborga, które filozofują nie rozwiązując żadnego istotnie filozoficznego zadania. Oddaje pan Szczepański cezarowi co cezarowego, ale nie zamyka oczu na odwrotną stronę talentu. Podziwia Sienkiewicza jako mistrza słowa, podnosi soczystość barw, styl prosty a jednak płynący, spokojny, harmonijny, z uznaniem odzywa się o plastyce, tem niemniej apostrofuje zatopienie się w miłości i wytyka błędy temu *faiseur d'âmes* w tworzeniu *biernych i w wysokim stopniu ograniczonych kobiet—niewolnic obowiązku.* Nawet *„Quo vadis"* nie jest niczem innem według niego jeno historyą idealnej miłości.

„I tu najcięższy robi zarzut Sienkiewiczowi, że autor piszący kazania o *mieszczańskich ideałach* nie umie ucieleśnić idei nurtujących w społeczeństwie, jego porywów i poglądów. Więc nie dziw, powiada p. Szczepański, że młodzież pyta się: Co nas może to całe towarzystwo filistrów obchodzić? Co słabi mężowie — co te głupie kobiety? Chcielibyśmy odzwierciedlenia w sztuce tego co nas porusza i cieszy (!) Sienkiewicz przechodzi mimo tego i pisze co? nawskroś idealny romans na tle neochrześcianizmu, w którym *ani jednem słowem nie porusza* powodów tego przewrotu, wywołanego wschodzącą nową wiarą. Krytyk porównywa dalej Sienkiewicza z Maupassantem tylko, że u naszego pisarza brak tej *ożywczej odwagi* tak chwytającej *za serca* u Francuza. Może znalazłby tę odwagę, gdyby nie pisał dla publiczności, aż nadto moralnej i swoich prac nie drukował w zbyt poważnych konserwatywnych gazetach i miesięcznikach.

„Tem się tłómaczy podług p. Szczepańskiego „owo klękanie do pacierza Połanieckiego z Marynią tak dziwne u trzeźwego kupca, a które wywołuje wykrzyknik ze strony krytyka: „Ja! wenn das Ironie wäre! Es ist aber ganz ernst gemedeint" (Gdybyż to przynajmniej była ironia! ale nie — to pomyślane zupełnie seryo przez Sienkiewicza).

„Streściliśmy, powiada w konkluzyi pismo z którego poczerpnęliśmy te cytaty, jako rzecz godną uwagi tę pracę p. Szczepańskiego i przeczytaliśmy ją z *prawdziwem zajęciem.* Autor zasługuje się dobrze publice europejskiej i naszemu piśmiennictwu przedstawiając je w świetle *interesującej prawdy."*

Jak łatwo domyślają się czytelnicy nasi, nie dlatego przytoczyliśmy im tak długi ustęp, żebyśmy dekreta jakieś indywidualne a choćby nawet reprezentujące jeden odcień krytyki literackiej zbijać zamierzali, bo i Sienkiewicz zbyt wysoko stoi, aby mu one w czemkolwiek ubliżyć miały i rozsądku zbiorowości tak łatwo na manowce nie wprowadzić, i my sami nie mamy żadnej ochoty do wdawania się w polemikę tam, gdzie się zachwala utwory tego autora ze względu na soczystość, gdzie go się porównywa z jakimś Maupassantem, który chwyta za serce, podczas gdy Sienkiewiczowi od tego daleko bardzo.

Tu nie o to chodzi zupełnie. My wyszliśmy z założenia, że nie należy potępiać matki na prowincyi zamieszkałej, gdy zmuszona rozstać się z dzieckiem swojem szuka dlań wedle swoich zapatrywań opieki w Warszawie. Przecież te wszystkie pisma i te ich opinie i sądy przedostają się tam hen do tych zaścianków cichych, przecież i tam ludzie czytają, myślą, zastanawiają się i sądzą także. Czego tu się czepiać matki, która wychowała dziecko w zasadach religijnych, a do życia zbroiła jew poczucie obowiązku, i dlaczego się dziwić, że ją śmiertelna trwoga opanowywa na myśl samą tego odmętu pojęć, w którym rozumie się wszelki stan ducha u mężczyzny z wyjątkiem nastroju religijnego, a kobietą poniewiera, chrzci ją nazwiskiem głupiej i niedołężnej dlatego właśnie, że ten obowiązek bierze na seryo.

Nie dziwujmy się tym wszystkim matkom, które się trwożą i wedle sił dziecko swoje zabezpieczyć pragną — nie dziwujmy się, bo istotnie ten wóz zaprzężony w rozbiegane konie nie jednego przerażać może z pomiędzy takich nawet, którzy się lada czem trwożyć niezwykli.

A. S.

Karol Dickens.

CZARNA ZASŁONA.*)

Pewnego zimowego wieczoru ku schyłkowi 1800 roku młody lekarz od niedawna zamieszkały w Londynie siedział wpatrzony w wesoły płomień swojego kominkowego ognia, wsłuchując się w ponure wycie wichru szalejącego na dworze i w ostre dźwięki szyb, które siekł z zewnątrz deszcz kroplisty i nawalny.

Dzień zeszedł mu pracowicie. Przymusowe kursa po zabłoconych ulicach i prawdziwe potoki deszczu, który nie ustawał ani na chwilę, wyczerpnęły go zupełnie, a więc siedzi teraz owinięty puszystym szlafrokiem z nogami w ciepłych i suchych pantoflach, pogrążony w jakimś błogim półśnie a półczuwaniu. O czem marzy ten człowiek? O wszystkiem, możnaby odpowiedzieć. A więc najprzód o tej burzy szalejącej tam na ulicach—o tem jakby ten deszcz smagał mu twarz, gdyby zamiast pozostawać w pokoju, zmuszony był wyjść gdziekolwiek. Potem myśl jego bieży daleko — daleko, aż do małego rodzinnego miasteczka, i do przyjaciół dawnych, którzy z pewnością ucieszyliby się szczerze, gdyby go mogli widzieć między sobą podczas nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Jeszcze później zaczyna znużona wyobraźnia fantazyować na ulubiony temat i młodemu początkującemu lekarzowi śni się, że pisze do swojej kochanej Róży, iż ma nareszcie jednego pacyenta, spodziewa się mieć ich więcej i coraz więcej, i że niedalekim już jest ów dzień pożądany, w którym poprowadzi ją do ołtarza, a potem do małego milutkiego mieszkanka w Londynie, gdzie obecność tej drogiej istoty doda mu nowej odwagi i ochoty do życia.

Ale oto i nowy zwrot w myślach — zwrot przykry, gnębiący, pełen niezrozumiałych przeczuć i przypuszczeń. Pacyent? Kiedyż nareszcie zjawi on się, ten pacyent tak gorąco upragniony? A może właśnie leży w tajnych widokach Opatrzności, aby on nigdy nie miał klienteli. I znowu widzi niby na jawie swoją ukochaną Różę, a wraz z tem wydaje mu się, że słyszy tuż obok jej głosik srebrzysty, a nawet czuje jakoby dotknięcie jej rączki maleńkiej na swojem ramieniu.

Jakaś ręka dotykała istotnie ramienia jego w tej chwili, ale nie była ona ani biała, ani piękna—owszem należała ta tłusta łapa do pucołowatego chłopca, wychowańca parafii, który za wynagrodzenie jednego szyllinga tygodniowo i żywność, ugodzony był do noszenia chorym lekarstw i rachunków. A ponieważ nikt nie prosił o te lekarstwa, a wskutek tego nie było komu odnosić rachunków, więc i obowiązki tego służącego redukowały się w ciągu 14 godzin na dobę do spania, jedzenia i wykradania lekarzowi pastylków miętowych, ile razy zdarzyła się po temu sposobność.

— Proszę pana jakaś osoba obca — szeptał on w tej chwili do ucha doktorowi, potrząsając jednocześnie jego ramieniem.

— Kto? gdzie? — pytał nieprzytomnie przebudzony, ale ponieważ resztki marzeń sennych brał jeszcze za rzeczywistość, więc pewnym był prawie, że ma Różę przed sobą. — Jaka osoba? gdzie?

— Tutaj panie — mówił pytany, wskazując palcem oszklone drzwi gabinetu przyległego, przyczem wydawał się wzruszony czy zaniepokojony bardzo, bo jużciż wtargnięcie kogoś nieznanego w tę cichą samotnię, należało istotnie do wydarzeń niezwyczajnych.

Młody doktór zwrócił spojrzenia swoje w kierunku wskazanym, i sam zadrżał wobec szczególnego zjawiska, które miał przed oczyma.

Była tam niemłoda osoba w grubą żałobę ubrana, postawy, jak na kobietę, wyjątkowo wysokiej, która stała tak blizko drzwi szklanych, iż twarz jej zdawała się dotykać szyby. Od góry okrywał ją całą szal czarny, a jak gdyby umyślnie dlatego, by trudniej było poznać ją, twarz osłonioną miała gęstym czarnym woalem.

Doktór, który po przez tkaninę rysów rozróżnić nie mógł, czuł jednak utkwione w siebie te dwie źrenice — zresztą przybyła pozostawała ciągle w postawie nieruchomej i nie zdradziła gestem żadnym tego, iż rozumie, że ją już spostrzeżono w tej chwili.

— Pani żądasz porady? — pytał lekarz trzymając rękę na klamce drzwi.

Skinęła głową na znak potwierdzenia.

— A więc proszę wejść — dodał uprzejmie.

Zjawisko postąpiło krok dalej, ale zwracając głowę w kierunku pucołowatego chłopca zamanifestowało pewną niechęć czy niepokój.

— Zostaw nas Tomie samych — zwrócił się doktór do służącego, którego wyłupiaste oczy wychodziły niemal z orbit swoich pod wpływem podziwu.

— Zapuść zasłonę i zamknij drzwi — powtórzył lekarz.

Opuścił istotnie zasłonę zieloną na szybę drzwi, ale nie omieszkał niezwłocznie potem przyłożyć jednego z tych wytrzeszczonych oczu do dziurki od klucza, a tymczasem doktór przysuwając krzesło bliżej kominka, wskazywał je gestem nieznajomej.

Zbliżyła się powoli, blask ognia oświecił jej suknię czarną, a doktór zauważył, że u dołu była ona mokra zupełnie i zabłocona.

— Pani przemokłaś o ile widzę.

— Może być—odpowiedział głos suchy i przytłumiony.

— A przytem jesteś pani cierpiącą — mówił doktór dalej, bo istotnie zdradzał głos tej kobiety ból jakiś tłumiony.

— Tak jest, cierpię, ale nie fizycznie i nie dla siebie szukać chcę porady u pana. Gdyby mi dokuczało cokolwiek, nie mogłabym tu być przecie o tej godzinie i w taką burzę, jaka tam szaleje. A przytem — dodała po chwili, — gdybym za dwadzieścia cztery godzin od tej chwili uległa istotnie chorobie jakiej, jakżebym gorąco prosiła Boga, aby się ona dla mnie śmiercią zakończyć mogła. O kogoś innego chodzi tutaj—nie o mnie, ale posłuchaj pan... może to szaleństwem jest z mojej strony spodziewać się czegoś ze strony nauki... a tymczasem w ciągu tych nocy bezsennych, spędzonych w męce nie do opisania, ta myśl nie opuszczała mnie ani na jedną chwilę, a choć dobrze rozumiem, że pomoc ludzka nic już nie może dla... niego, myśl sama, żeby go złożyć do trumny bez wypróbowania tego jeszcze jednego środka, jaki pozostaje, przejmuje mnie dreszczem zgrozy.

Wstrząsnęła się konwulsyjnie po tych ostatnich słowach, a było w tem wstrząśnieniu tyle przerażenia szczególnego, że udanie — sztuka na myśl nawet nie przyszły doktorowi — owszem czuł on w intonacyi głosu rozpacz jakąś bezdenną, która zrobiła na nim wrażenie potężne, a że był młodym, że nie oswoił się jeszcze że wszystkiemi nędzami ludzkiemi, które zazwyczaj po dłuższej praktyce zatwardzają serca lekarzy, więc zrywając się z krzesła, mówił pośpiesznie?

— Jeśli osoba, o której pani mówisz jest w tym stopniu zagrożoną, czasu do stracenia nie mamy ani sekundy. Ale powiedzże mi pani proszę, dlaczego nie było się odwołać wcześniej do lekarskiej pomocy.

— Dlatego, że wcześniej byłaby ona bezużyteczną zupełnie, tak samo, jak bezużyteczną jest i w tej chwili jeszcze.

I załamała dłonie z gestem rozpaczy prawdziwej.

Spróbował doktór wyczytać jakieś objaśnienia z jej twarzy, ale tej twarzy przez zasłonę nie dojrzał teraz również, jak jej nie mógł dojrzeć przedtem.

— Pani jesteś chorą, jakkolwiek zdajesz się nie czuć tego—mówił młody doktór łagodnie.— Gorączka pod której wpływem znosiłaś pani zapewne trudy dotychczasowe, teraz zaczyna być widoczną. Niech się pani napije cokolwiek.

To mówiąc nalewał jej wody i zachęcał do objaśnień.

— Trzeba się uspokoić koniecznie; ja potrzebuję wiedzieć przedewszystkiem, co to jest za choroba, o której pani mówisz i od jak dawna ona trwa. Zdobądź się pani na zimną krew, a ja skoro się dowiem, o co chodzi, będę gotów towarzyszyć na miejsce.

Nieznajoma nie podnosząc zasłony poniosła szklankę do ust, ale zanim zdążyła przełknąć wybuchnęła głośnem łkaniem.

— Ja to rozumiem dobrze — mówiła teraz z oznakami wzburzenia wielkiego,—że słowa moje wydać się panu mogą słowami obłąkanej. Nie jeden z kolegów pana powiedział mi to już bez zachowania tych względów, które pan zachowujesz dotąd. Nie jestem młodą, a słyszałam nieraz, iż żywoty ludzkie dobiegające swojego kresu, wtedy nawet gdy się obcym wydają liche i głupie, nam samym droższe są niż cała przeszłość z jej wspomnieniami. Ja już długo żyćbym nie mogła w żadnym razie, i z tego punktu zapatrywania ta reszta dni moich powinna niby cenną być dla mnie, ale oddałabym chętnie ten ostatek, gdyby tylko to, z czem tu przychodzę, było tylko uwidzeniem i nieprawdą. Jutro rano, ten o którym panu mówię, będzie po za możliwością wszelkiego ludzkiego ratunku, i co do tego próżno byłoby mi się łudzić nadzieją jakąkolwiek, bo nadzieja taka byłaby niedorzecznością, a... jednak, pomimo że dziś wieczorem jemu grozi śmierć pewna, ani go pan widzieć nie możesz, ani nie zdołasz przyjść mu z pomocą żadną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

---

*) Wypadek, który opowiedzieć mamy, spisany został wedle słów człowieka, którego prawdomówność w gronie przyjaciół i blizkich jego znajomych nigdy w wątpliwość podaną nie była. Niejednokrotnie zdarzyło nam się słyszeć z ust jego to wydarzenie szczególne, malowane zawsze z jednakiem przejęciem i wzruszeniem, a nigdy nie spotkaliśmy tam waryantów, którymi mniej skrupulatni narratorowie zwykli ubarwiać przygody własnego życia.

W ostatnich chwilach.

Co myśli, co czuje, czego się obawia, czego spodziewa, czego pragnie istota ludzka w ostatnich chwilach ziemskiego swego bytu?

Nieraz zapewne pytanie takie nasuwało wam się czytelnicy. Słyszeliście może kiedy opowiadania ludzi, którzy stali już oko w oko ze śmiercią i tylko przypadkowym jakimś i niespodziewanym sposobem zdołali jej uniknąć, i zapytywaliście siebie, czy każdy rozstający się z życiem podobnych wrażeń doznaje.

Trudno nie przyznać, że są to zagadnienia bardzo ciekawe.

Właśnie „Revue Philosophique" naukowy miesięcznik francuzki zostający pod dyrekcyą znakomitego psychologa Th. Ribot'a pomieścił przed niedawnym czasem artykuł d-ra Eggera zatytułowany „Le „moi" du mourent," w którym uczony ten rozbierając wrażenia przedśmiertne rozmaitych osobistości, stara się z dostarczonego mu materyału wyprowadzić w kwestyi tak ważnej dla psychologów pewne wnioski ogólne.

Z materyału tego skorzystajmy i my.

Oto na przykład profesor Heim, uczony szwajcarski, który na jakiejś wycieczce górskiej stoczywszy się w przepaść, szczególnym trafem ocalał, opowiada co następuje: „Potrzebowałbym z pewnością godziny całej na opowiedzenie dokładne wszystkiego co działo się we mnie podczas tych kilku pamiętnych sekund. Wszystkie myśli, wszystkie obrazy przedstawiały mi się z nadzwyczajną dokładnością i jasnością. Najrozmaitsze idee przelatywały przez głowę moją niby błyskawice.

Obliczałem przypuszczalne następstwa mego upadku i okoliczności mogące złagodzić jego niebezpieczeństwo. Następnie ujrzałem wszystkie wydarzenia życia mego, przesuwające się przedemną niby w szeregu niezliczonych obrazów."

Co do tego ostatniego objawu, o którym i wy czytelnicy nieraz zapewno musieliście słyszeć, dr. Egger robi uwagę, że wyraz „wszystkie" w opowiadania Heima zastąpić należy przez „najważniejsze," wszystkie jest wyrażeniem hyperbolicznem.

Prof. Heim na podstawie doświadczenia własnego i innych Alpinistów, którzy podobnie jak on mieli sposobność spojrzenia śmierci prosto w oczy twierdzi, że przeciąg czasu między chwilą stracenia równowagi a chwilą uderzenia się o dno przepaści wypełniają następujące objawy:

1) Uczucie niewypowiedzianej błogości.

2) Anestezya (znieczulenie) nerwów czucia, przyczem wzrok i słuch zachowują bystrość normalną.

3) Niezwykle szybkie i natężone działanie myśli i wyobraźni.

4) W przeważnej liczbie wypadków ma miejsce widzenie minionego życia.

Heim utrzymuje zatem, że tylko w przeważnej liczbie wypadków—nie zawsze jednak odbywa dusza przed śmiercią ten szczególny przegląd przeszłości.

Egger zaś, który to widzenie minionych zdarzeń uważa za objaw ostatniego i natężonego samopoczucia swojego „ja," „ja" które za chwilę ma się skończyć, nie przypuszcza, by człowiek (z wyjątkiem pewnych szczególnych wypadków, które następnie wymienimy) mógł stanąć wobec nagłej śmierci bez tego rzutu na przeszłość, na cały szereg stanów, świadomości jego, przechowanych przez pamięć, i stanowiących jego indywidualność.

Mogą nie mieć i istotnie nie miewają widzenia przeszłości przed śmiercią dzieci i dzicy, którzy na wielu punktach są także dziećmi.

Dziecko najczęściej nie rozumie niebezpieczeństwa, a nawet wtedy gdy je rozumie, jego pojęcie śmierci to nie to pojęcie, które ma o niej człowiek dorosły. Na pewnym już stopniu intelektualnego rozwoju śmierć może być dla dziecka przejściem do innego tajemniczego świata, ale nie jest dla niego końcem pewnego wyraźnie określonego bytu, ostatniem ogniwem całego łańcucha wspomnień połączonych ze sobą i zgrupowanych w pewną ściśle określoną całość. Indywidyualność dziecka jest słaba i nie wyrobiona. Z wiekiem wzmaga się, koncentruje, zbogaca wspomnieniami, do których łączą się widoki i nadzieje przyszłości. Dziecko zatem nie może mieć przed śmiercią tej wizyi swojego „ja," które objawia się człowiekowi dorosłemu w szerego zmiennych wyrazistych obrazów.

Na poparcie twierdzenia swego przytacza Egger przykład ośmioletniego chłopca, który spadłszy z wysokości 22 metrów, wyszedł z tej katastrofy bez szkody. Ten nie wiele potrzebował czasu na opowiedzenie swoich wrażeń. „Zajęty byłem przez ten czas jedynie myślą, by nie zgubić pięknego scyzoryka, który dostałem od ojca" opowiadał potem.

Chory, którego świadomość gaśnie powoli wraz z funkcyami żywotnemi, który nie myśli ani o życiu, ani o śmierci, nie może również zwracać się z taką siłą ku przeszłości swojej. To samo da się powiedzieć o chorym do ostatniej chwili nie spodziewającym się śmierci, lub o mistyku gardzącym życiem ziemskiem i z upragnieniem oczekującym zgonu, który jest dlań przejściem do stanu wyższej doskonałości i szczęścia. Nie pojawią się też obrazy przeszłości w duszy żołnierza idącego do ataku, i ginącego w chwili, gdy całą świadomość jego wypełnia czyn, wypełnia cel, który chce on osiągnąć kosztem wszystkich sił, kosztem samego życia.

Po za tymi wyjątkowymi wypadkami w duszy umierającego musi na chwilę zmartwychwstać przeszłość. Jeżeli kończy w sposób normalny zamyka zazwyczaj w słowach pogląd na swoje „ja."

Jeżeli na przykład jest Neronem woła: jakiegoż wielkiego artystę traci świat we mnie!

Gdy brak mu czasu na definiowanie się słowami, jawi się przed nim jego indywidualność w szeregu widomych obrazów.

Kończy Egger propozycyą ankiety, któraby zajęła się zbieraniem odnośnych faktów, i wzywa wszystkich, których los postawił na progu śmierci, by wspomnianemu wyżej miesięcznikowi przysłali opisy wrażeń doznanych w ostatnich chwilach.

Na wezwanie jego pospieszyli zarówno uczeni, badający zjawiska tego rodzaju jak i ci, którym czynna rola w podobnych dramatach dostała się w udziale. Pozwolimy sobie powtórzyć za nimi niektóre fakta i poglądy.

Dr. P. Sollier zwraca przedewszystkiem uwagę, że artykuł Eggera nie mówi właściwie o wrażeniach doznawanych wobec śmierci, lecz jedynie wobec idei zbliżającej się śmierci. Jest to rozróżnienie bardzo ważne i słuszne. Dalej przy badaniach nad tym przedmiotem zaleca zwracać uwagę na wiek, na stopień świadomości indywidualnej, kulturę umysłową i moralną, wreszcie na zdolność wzruszeniową badanego. Co do uczucia błogości, uważa je za następstwo znieczulenia, za brak wszelkich cierpień. Anestezyą objaśnia przez zwrócenie myśli wyłącznie w kierunku niebezpieczeństwa, w kierunku szukania sposobów ocalenia. Ile razy trafimy na podobny monoideizm, spotykamy zawsze i znieczulenie. Wreszcie co się tyczy owej przedśmiertnej wizyi przeszłości, Sollier przypisuje ją w znacznej części zniweczeniu (anestezya) składowych pierwiastków obecnej indywidualności ginącego. Gdzie nie odczuwa się teraźniejszości, tam z tem większą siłą występuje przeszłość.

A. Moulin opowiada o sobie mniej więcej, co następuje:

„Będąc kilkonastoletnim chłopcem udałem się pewnego dnia z kilkoma towarzyszami, pod opieką mego wuja do kąpieli. Nie umiałem pływać. Towarzysze moi posiadający tę sztukę zachęcali mnie do rzucenia się w wodę, tak przezroczystą, że wydawała się o wiele płytszą, niż była istotnie. Skoczyłem śmiało, i zanurzyłem się z głową. Zacząłem robić wysiłki w celu wypłynięcia na wierzch, ale nie udawało mi się. Chciałem krzyczeć, ale woda wielkiemi ilościami wpadała mi do ust. Szalone nadludzkie wysiłki, które zużytkowane umiejętnie pozwoliłyby mi ze trzy razy przepłynąć rzekę tam i na powrót, nie przyniosły żadnego pożytku. Wtedy poczułem, że śmierć się zbliża. Bólu fizycznego, o ile sobie przypominam, nie doznawałem żadnego. Moralnie nie cierpiałem również. Raz przemknęła mi przez głowę myśl, że nie zobaczę już moich rodziców, ale nie dotknęła mnie bardzo boleśnie. Obraz przeszłości mojej nie zjawił się wcale, za to zaręczyć mogę. W zamian hallucynacye jakieś poczęły mnie prześladować. Zdawało mi się na przykład, że wuj mój jest tuż koło mnie i wyciąga ku mnie ręce, by mnie ratować. Było to zupełne złudzenie, jak dowiedziałem się później. Wuj znajdował się wówczas na statku i o wypadku nie wiedział wcale. Szum wzrastał, ciemność coraz większa zaczęła ogarniać mnie, a wraz z nią uczucie błogości. Było mi bardzo dobrze. Myślałem coraz mniej, traciłem świadomość.

Obudziłem się na brzegu, wyciągnięty przez towarzyszów, których zabawił mój śmiały skok, i którzy w pierwszej chwili nie domyślali się wcale, że tonę. Teraz dopiero ogarnęło mnie przerażenie tak straszne, że zacząłem dygotać całem ciałem. Mówić nie mogłem, monosylabami jedynie odpowiadałem na zadawane mi pytania. Zaledwie uspokoiłem się nieco, gdy w pobliżu dał się słyszeć okropny krzyk. Dzieci z sąsiedztwa kąpiące się o kilkadziesiąt kroków od nas zaczęły wołać, że jedno z nich tonie. Był to chłopiec, który natychmiast po uczcie weselnej udał się do kąpieli. Uderzenie do głowy zabiło go na miejscu. Na krzyk podniesiony przez dzieci zerwałem się pomimo osłabienia, i pobiegłem jak szalony na miejsce wypadku, krzycząc z całych sił: mój Boże! mój Boże! Gdym nadbiegł wydobywano właśnie z wody ciało tego biedaka. Był to widok nad moje siły. W konwulsyach padłem na ziemię. Dotąd ze zgrozą przypominam sobie ów dzień, w którym zdawało się, że rzeka postanowiła sobie zabrać jakąkolwiek ofiarę.

„Cały mój pobyt pod wodą nie trwał dłużej jak kilka sekund, ja jednak wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu utrzymywałem, że co najmniej kwadrans. Wyobrażenie to było zapewne następstwem olbrzymiej ilości pracy, wykonanej w tym krótkim czasie przez moje mięśnie bez najmniejszego pożytku."

W podobnym wypadku odmiennych nieco wrażeń doznawał Aleksander Keller. Również jako kilkonastoletni chłopiec przepływając Mozellę, porwany został przez wir i jednocześnie pochwycony za nogę przez jednego z tonących współtowarzyszów niedoli. Ta ostatnia okoliczność utrudniając mu ruchy, nie pozwoliła wydobyć się na powierzchnię wody jak tylko na bardzo krótką chwilę. Przez tę chwilę zdołał dostrzedz łodzie śpieszące im na pomoc, usłyszeć krzyki i nawoływania ludzi stojących na brzegu. Wzrok i słuch jego działał przez tę chwilę energiczniej niż zwykle. Zanurzywszy się znowu w wodę czynił ciągle rozpaczliwe wysiłki by wyswobodzić się z rąk towarzysza i zwyciężyć wir. Wszystko napróżno śmierć stanęła mu wyraźnie przed oczami a z nią trwoga niewypowiedziana opanowała chłopca, i w tej chwili usłyszał jakby koło siebie głos: „nie zobaczysz już rodziców." Zdjął go żal, ale krótki, zaczynało być mu bardzo przyjemnie, wpadał niby w sen, w którym widział wyraźnie przed sobą rodzinną okolicę, drogę białą, prostą ciągnącą się pośród Wogezów. Tą drogą szedł niby dziecko małe. Był to jedyny szczegół z przeszłości, który pamięć przywiodła mu w tej chwili. W następnej sekundzie stracił świadomość.

Z własnego doświadczenia sądząc dodaje w końcu Keller—zapewnić mogę, że „ja" umierającego przejęte jest trwogą, zgrozą, przerażeniem, że strach i wysiłek fizyczny podjęty w celu ocalenia życia to prawie jedyne pierwiastki wypełniające świadomość ginącego.

Wrażeń tych mogą jedynie nie doznawać dzieci, mistycy, żołnierze przejęci swoją ideą, starcy, którym życie jest ciężarem i prawdopodobnie samobójcy.

Na tem kończymy sprawozdanie z ankiety ogłoszonej przez „Revue Philosophique."

O ile głosy, które prawdopodobnie odezwą się jeszcze w tej sprawie, przyniosą szczegóły świeże i dające do myślenia, nieomieszkamy podzielić się niemi z wami czytelnicy.

F.

TO I OWO.

✱ Sprawozdanie z działalności Instytutu Pasteur'owskiego w Paryżu za rok 1895 głosi co następuje:

Z 1,520 ozób leczonych w Instytucie zmarło tylko 2. Stopniowego doskonalenia się stosowanej metody mamy dowody bardzo przemawiające, w roku bowiem 1886, t. j. w początkach samych szczepienia wścieklizny, na 2,671 leczących się w tym zakładzie umarło osób 25.

Co do narodowości to na kontyngens leczonych w roku 1895 osób 1,520 złożyło się wedle narodowości: Francuzów 1,263—Anglików 173 — Szwajcarów 35 — Indye Angielskie dostarczyły pokąsanych 20 — Hiszpania 11 — Belgia 6 — Hollandya 6 — Egipt 2 — Grecya 2 — Turcya 2.

Z departamentów przybywa pacyentów zakładowi bardzo nierównomiernie. Najwięcej było wypadków w departamencie Sekwany i Oizy. Dużo było departamentów, które wcale nie przysłały chorych a co jest zadziwiające, że są to wszystko okolice górzyste, które się tak korzystnie wyróżniają.

✱ Pedagogiką sportową zajął się w Paryżu niejaki Choulet, ale że uprawiał tę professyą bez specyalnego upoważnienia, przeto władze bezpieczeństwa publicznego zajęły się jego osobą. Oddawna już dosyć zauważono to indywiduum snujące się uporczywie w dystrykcie ogrodu spacerowego przeznaczonym dla dzieci; widziano jak rozmawiał z tem maleństwem o tyle rozumie się, o ile niańki i dozorczynie zajmowały się pogawędką między sobą.

Agent policyi ukryty śledził to wszystko i po pewnym czasie sprawdził, że ów pan Choulet spełniał professyę bookmakera nieletnich. Wyłudzał on od nich franki i centymy, przedstawiając korzyści lokowania tych małych funduszów w operacyach totalizatorowych, a negocyacye te brał już oczywiście na siebie. Jak się przekonano przynosiło mu to dochodu stałego od 15 do 20 franków dziennie. Obecnie pan Choulet rozmyśla w ciszy swojej celki w Mazas, a promotorowie sportu mogą się także oddać rozmyślaniom na temat, jaki to miły ogonek ciągnie za sobą ta instytucya współczesna, której duch i t. d., i t. d.

✱ Wierzący współczesny (wedle Figaro'a).

Pan 1-szy. Wszak wolno pana zapytać, czy wierzysz w Boga?

Pan 2-gi. Zapytać? Dlaczegoby nie. Tylko chciałbym wiedzieć: seryo czy żartem?

P. 1. Rozumiem i przepraszam. Za to może powiesz mi pan, co trzymasz o nieśmiertelności duszy?

P. 2. Fi...!

P. 1. Ale w postęp to już z pewnością wierzysz.

P. 2. Postęp to... proch i nicość!

P. 1. Ani w naukę?

P. 2. Wyraźnie uwziąłeś się pan żartować dzisiaj.

P. 1. Powiedz-że mi przynajmniej czy zdaniem twojem uczucia religijne potrzebne są ludowi?

P. 2. Drwię ja sobie grubo z tego waszego ludu!

P. 1. A klasom używającym?

P. 2. No z tych to już drwię sobie całą gębą.

P. 1. Jakie znaczenie przypisujesz pan wychowaniu?

P. 2. Wychowanie?... Ależ to puste słowo tylko.

P. 1. Przecież w przyszłość rodzaju ludzkiego musisz pan wierzyć?

P. 2. Ani trochę.

P. 1. To choćby w wolnomularstwo?

P. 2. I w to nawet nie.

P. 1. W takim razie dajmy pokój, a natomiast pogadajmy o cudownych objawieniach jasnowidzącej z ulicy Paradis?

P. 2 (żywo). Alboż jest w Paryżu jaka jasnowidząca?

P. 1. Jest. Przecież wynalazł ją Chincholl.

P. 2 (ze wzrastającem zajęciem). Numer domu?

P. 1. 40.

P. 2 (uderzając się w czoło). No! to szczęśliwy prawdziwie zbieg okoliczności. W tej sprawie muszę się jej poradzić.

(Odchodzi szybko).

✱ Najmniejsze państwo w Europie stanowi wysepka Tavolero na północo-zachód Sardynii, położona a licząca 5 kilometrów długości przy 950 metrach szerokości. Mieszkańców ma to państwo 55-ciu tylko. Forma rządu była od 1836 — 1882 r. monarchiczna reprezentowana przez Pawła I-go, który chciał być i ostatnim, przed śmiercią bowiem wyraził życzenie, aby naród jego rządził się nadal jako republika, co też rzeczywiście ma miejsce po dziś dzień bez wstrząśnień i przesileń namiętnych. Prezydent wybierany bywa co pół roku, a kobiety głosują na równi z mężczyznami.

Odpowiedzi od redakcyi.

W-na E. Piekarska. Formy gotowe podług przysłanej miary lub bez takowej sprzedają w kilku miejscach. Bardzo dobre są na ulicy Niecałej „Maison Fenix." Cena rozmaita stosownie do fasonu. Forma dopasowana podług miary droższa—gotowa którą trzeba dopasować samej tańsza. Okrycie mniej więcej od 60 kop. i wyżej—stanik i spódnica około rs. 1 kop. 50.

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Апрѣля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski.** **DODATEK.**